

# WIECZORY RODZINNE,

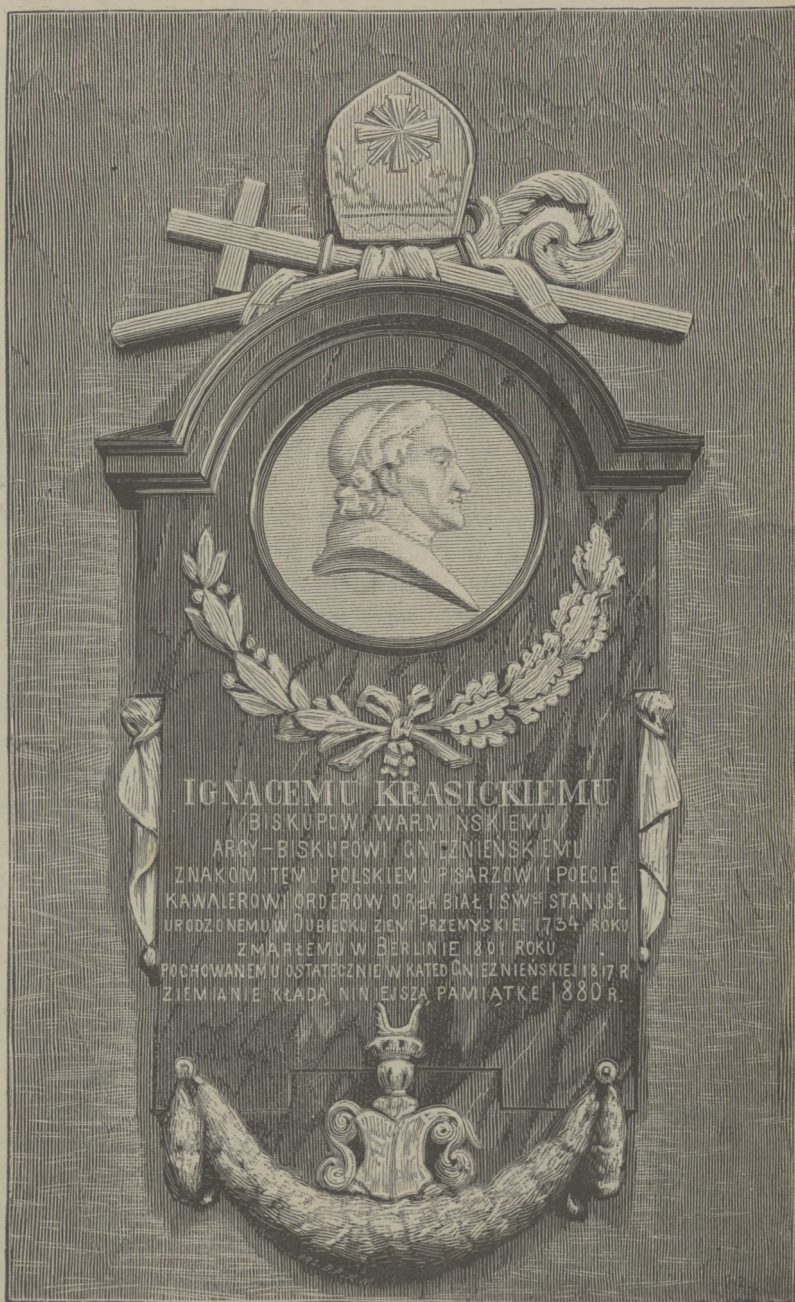
CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[35]

## POMNIK KRASICKIEGO w Płocku.

Podaliśmy już dawniej czytelnikom naszym obszerniejszą wzmiankę o biskupie warmińskim, Ignacym Krasickim, znakomitym naszym pisarzu. Zwłoki jego złożone są w Gnieźnie, pomnik zaś, na rysunku przedstawiony, przeznaczony był pierwotnie do kościoła we wsi Siecinie w ziemi Dobrzyńskiej. Uczony kanonik Smoleński w dawnych dokumentach wyszukał dowody, że jeden z właścicieli Siecina, Jakób Sieciński herbu Rogala około r. 1520 przeważał się Krasickim, zaślubiwszy Orzechowską z Krasiczyna, jak to podówczas było dość pospolitym zwyczajem. Ignacy Krasicki, biskup warmiński, był w szóstym pokoleniu potomkiem owego Jakóba. Wezwał tedy ksiądz Smoleński mieszkańców ziemi Dobrzyńskiej, aby choć skromny nagrobek na jego pamiątkę postawili w kościele siecińskim, przez jego naddziada fundowanym. I wnet ziemianie z okolic Siecina złożyli kilkaset rubli na pomnik, który wykonali w Warszawie dwaj rzeźbiarze, Andrzej Pruszyński i Jan Sikorski. Wizerunek Krasickiego z białego mar-



POMNIK KRASICKIEGO W PŁOCKU.



muru kararyjskiego wykuł pan Pruszyński, tablica zaś i ozdoby z białego i szarego marmuru są dziełem p. Sikorskiego. W końcu jednak pomnik ustawiony został, nie w kościele siecińskim, ale w katedrze płockiej, gdzie go 7-go Czerwca 1880 r. uroczyście poświęcono.

## HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem Konrad Richartsdowff zawsze spokojny jak żelazo w które był odziany i giermek Fritz drżący oburzeniem z razu, lecz natychmiast spokojem rycerza pana swego uspokojony, dawno się już znajdowali wraz z towarzyszymi w gościnnym służącym im za tymczasowe schronienie domu, stanowczo utwierdziwszy się w przekonaniu, że Litwa jest jeszcze okrutnie dziką krainą.

Nastąpiły szybkie gorące umowy pomiędzy rycerzem i starym Litwinem gospodarzem, właścicielem starego Hansa, o tego Hansa właśnie, którego rycerz postanowił za wspólną zgodą wykupić, obdarować i osiedlić odprowadziwszy do kraju, lub zatrzymać przy sobie, wedle woli samegoż starego Hansa, byle tylko za to syn przybrany nigdy z rycerzem się nierozłączał, dziedzictwo i nazwisko *pana na Richartsdorffie* zatrzymał. Dalej nastąpiły śmieszne i rzewne razem epizody, gdy stary Litwin chciwie targował się z rycerzem o pieniądze za niewolnika, a ten niewolnik go za to najokrutniej po swojemu łajał, co mu znów pan oddawał wzajem, a przytem obydwaj serdecznie płakali i szczerze, bo po dwudziestu latach kłótni i pracy wspólnej, przywykli do siebie i na prawdę żal im było się rozstawać ze sobą. Przyszło do tego że w ostatniej chwili padli sobie wzajem w objęcia ściskając się i zaraz Hans stary plunął i wrzasnął:

— Ażebyś ty wprzód przepadł szkaradny poganiń, nimbym ja miał niewoli u ciebie pożałować!

Na co odwrzasnął Litwin zaciekle:

— Żeby ciebie raczej nigdy oczy moje nie oglądały, nim miał bym cię żałować najniegodzniejszy najkrnąbrniejszy z niewolników!

I ztemi krzykami znów oba zaczęli się ściskać.

Rycerz naglił, bo pilno mu było okrutnie do Malborga, aby tam być gotowym do zbierania plonu swych trudów; natychmiast więc po odebraniu odpowiedzi dla W. Mistrza od obdarowanej Gedyminowej, przez jej starszego dworskiego oczywiście,

puszczono się w drogę z powrotem. Teraz, bez kłopotliwej troski podróżowano dość prędko i swobodnie. Stary Hans tylko próbował się kłócić na około ze wszystkimi, zgorzkniawszy do gruntu duszy w ciężkiej i długiej niewoli pogańskiej. Ale nikt zresztą nie był do kłótni z nim ochotny. Raz napadł z wyrzutami nawet na własnego syna, za to że jak mu się zdawało, syn ten więcej miał serca dla przybranego ojca niż dla niego.

— Nie byłoby to bezprzykładnem — rzekł rycerz dosłyszawszy z daleka tych wyrzutów — wiadoma rzecz że raniony i wyleczony z rany ptak przywiązuje się serdecznie i nazawsze do strzelca który go ranił.

Wracano tą samą wprzód przebytą drogą, raz że już ją znano, a powtóre że miano nadzieję spotkać starą Hansową gdzie w okolicy puszczy, kędy z oczu znikła podróżnym, unosząc zwłoki wnuka. Ta nadzieja była nawet jedną z przyczyn gwałtownego pośpiechu z jakim wyjeżdżano z Kiernowa. O niebezpieczeństwie mogącym grozić podróżnym od rozbójniczej bandy Kire-kirejty stariej Jatwieży, nikt ani pomyślał nawet teraz, gdy nie było drogocennego podarku W. Mistrza o któryby dbać potrzeba. Hans młody nic nie mówił ale spieszył jak szalony, a rycerz wzdychał patrząc na to, bo czuł doskonale że poczciwy młody stryj, pomimo jego upomnienia nie mógł uwierzyć, żeby dziwny jego mały synowiec, wpół rozbójnik wpół dziecko, żyć przestał. I bolał Richartsdowff zawczasu nad nieuniknionym przybranego syna zawodem i cierpieniem. Przybywszy jednakże w okolicę puszczy do której dążyli, doznali jeszcze zupełniejszego zawodu wszyscy trzej krewni niż się tego lękali, bo pomimo najściślejszych poszukiwań nie znaleźli ani śladu matki Hansowej. Stary Hans rozplakawszy się nad stratą nadziei, jaką powziął z opowiadań syna, że ujrzy jeszcze towarzyszkę swjej młodości, złażał w końcu tego ostatniego za swój zawód a potem go ucałował. Osadę Jatwieży zamienioną w zgliszcza, zaledwo zdolano odnaleźć wśród takiejże całej części puszczy. A gdy ją nakoniec rozpoznano, stanęli podróżni w milczeniu patrząc na smutny obraz ponurego zniszczenia, czekając czy na ich widok nie wyjdzie ze zgliszczów jaka żywa istota, wołając i trąbiąc. Czekali napróżno. Zaczęli więc szukać wśród szczętów i złomów, czyli nareszcie choć ciała Hansowej lub jej wnuka nie znajdą, a gdy po bezskutecznych poszukiwaniach, trzeba było nareszcie wyrzec się i tej smutnej nadziei, stanęli znów w milczeniu odkrywszy głowy i cichą modlitwą żegnali to miejsce ponure. Pewni byli prawie że wiekowa niewiasta ze zwłokami wnuka nie mogła odejść daleko z owego miejsca i nie zginać



w puszczy, a i tak jakież los mógł ją spotkać od rozszoszczonego Kirejty?.. Tak myśleli podróżni i w tych myślach modlili się za krewne im dusze, gdy Hans młody podnosząc zalane łzami oczy ku niebu, krzyknął i obie ręce w górę wyciągnął. Jego towarzysze spojrzeli w kierunku jego rąk i na spopielałych ale i w zniszczeniu swem potężnych jeszcze szczątkach świętego dębu Jatwieży ujrzeni dziw nad dziwami w tem miejscu,.. krzyż! Krzyż zrobiony z dwóch opalonych kijów związanych łykiem, ale przeto niemniej wspaniale i zwycięzko wznoszący się na pogańskich zgliszczach jak gdyby był szczerozłotym.

— To matka! moja matka utwierdziła tam ten krzyż, — wołał Hans rzucając się jeszcze raz ku temu miejscu, gdzie dostać się było bardzo trudno, z przyczyny nagromadzonych szczętów olbrzymiego drzewa i gdzie nawet najmniej potrzebnem sądzono szukanie, gdyż zdawało się że chrześcijanka gdziebądź indziej prędzejby schronienia szukała, czy to na życie, czy w ostatniej jego chwili, niż u stóp ołtarza bałwanów pogańskich. A przecież dostawszy się z wielkim trudem, tam właśnie ujrano wśród popiołów dwie świeże jeszcze mogiły ponad któremi na szczycie pogańskiego dębu wznosił się miłosierny znak zbawienia. Tuż obok mogił w straszliwie grubem i przez to trudnem do zwęglenia drzewie, pozostało jeszcze dość spore wgłębienie, z którego wypchnięte reszty spalonego bałwana Pikaly, wały się w pobliżu, a natomiast trochę suchego mchu, woda w strzaskanej bogatej czarze i kilka dzikich gruszek zdradzało istnienie tutaj ludzkiej istoty. Hans młody padł na kolana pomiędzy mogiłami i dębem, a niewiedząc czy się radować lub smucić. Nie porozumiawszy się ze sobą, stali wszyscy lub siedzieli tam wśród popiołów, oglądając się w koło, jakby na kogo czekali. I czekali nie próżno. Po dłuższej chwili ukazała się drżąca schylona postać niewieścia, niosąca w płachcie trochę dzikich owoców z głębi puszczy do kryjówki swojej wśród mogił. Ujrawszy biegnącego ku sobie Hansa, zadrżała i osunęła się na kolana bezsilnie. Otoczono ją, pokrzepiono, uspokoiono i dopiero przygotowawszy do wielkiej radości, przyprowadzono do niej z po za gromady zgliszczów gdzie stał i płakał, starego Hansa.. Na pytania co do mogił, Hansowa zalała się łzami i rzekła:

— A i gdzież go miałam na wieczny spoczynek położyć, jak nie przy tym jemu tak ukochanym poganinie dziadzie, którego za nic na świecie, ani nawet dla mnie, nie byłby odstąpił za życia...

— Biedny drogi chłopcze mój.. — cicho szeptał coś młody Hans nad mogiłą kłęczący...

Pomimo wielkiego niepokoju który pędził Kon-

rada Richartsdorffa do Malborge, ponieważ rycerz nie mógł wiedzieć czyli nie spóźni się na uroczystość Honorowego Stołu, bo nie ogłoszono stanowczo jej czasu, przecież nie chciał on puścić przybranego syna samego z rodzicami starymi, aby ich odprowadził do własnego ich gniazda pod Lublinem, z kąd ich przed dwudziestą laty nie szczęście wyrwało. Rycerz odesłał więc od granic Polski do Malborge nie potrzebne mu już służebne krzyżactwo, prócz giermka Fritza który za nic nie chciał uwielbianego przezeń pana i wozu swego opuścić. Konrad Richartsdorff wraz z giermkim więc i przybranym synem odprowadzili starych Hansa i Hansową pod Lublin, gdzie na miejscu pięknego niegdyś dworca swego nie zostali oni nic, prócz trawy. Dobrze jeszcze że nie zaorano tego miejsca, a i to tylko dla tego, że nikt go nie potrzebował bo w wyludnionym ciąglemi strasznymi walkami i napadami łupieżców kraju, aż nadto obszernie było pozostałym mieszkańcom, Rycerz nie sam, ale przez Hansa uprosił, aby starzy przyjęli znaczną zapomogę od syna własnego, jako bogatego pana na Richartsdorffe, gdyż rycerz należał istotnie do najzamożniejszych panów i wcale nie potrzebował sprzedawać swój ojcowizny i zubożać się, dla zyskania potrzebnych kosztów na uczestniczenie w uroczystości Honorowego Stołu. I w tem jak pod innymi względami W. Mistrz mądrość swą okazał, powierzając przeprowadzenie klawikordu takiemu bogatemu i dumnemu rycerzowi, który sam mógł i gotów był łożyć na koszt. Starzy Hansowie zajęli się natychmiast budowaniem nowego dworca na miejscu dawnego, zamieszkawszy tymczasem gospodą w małym pobliskim dworku, gdzie nieznanymi gospodarze chętnie przyjęli ich w gościnę. Dwadzieścia lat czasu tak zmieniło ludzi i okolice wystawioną na ciągłe wojenne nieszczęścia, że trzeba się w niej było osiedlać na nowo nieledwie jak w obcej. Później, powoli dopiero odnalazł się przecież w okolicy ten i ów znajomy z dawnych, który sobie Hansów przypomniął. Konrad Richartsdorff na prośby starych i przez wzgląd na syna, mimo pośpiechu przyjął na jedną noc spoczynek w gospodzie starych Hansów. Stara matka ugościwszy najstaranniej jutrzejszych a ukochanych podróżnych, nasłala im co najprędzej siana do snu w najlepszej izbie, aby wypoczęli na jutro. Wzdychała przytém okrutnie i płakała po cichu Hansowa, tęskniąc już zawczasu za jedynym synem niedawno odzyskanym, z którym znów nazajutrz rozstać się trzeba było. Ale wśród płaczu taka była szczęśliwa i uradowana, że podskakiwała z radości jak jakie młode dziewczę:

— Hej dziadulu Niemcze! czy spodziewałeś się kiedy mieć syna takiego wielkiego pana i mą-



drego i dzielnego rycerza, jakim będzie Hans na Richartsdorffie?! — zagadnęła babina męża swego, stając przed nim w dumnej postawie w boki się ująwszy. Bo pomimo że serdecznie męża kochała, przecież ciągle mu wyrzucała niemieckie pochodzenie, utrzymując że w tém i w jój nieposłuszeństwie ojcowej woli gdy szła za Niemca, była przyczyna wszystkich nieszczęść, jakie ją za karę spotkały w życiu. Stary Hans niezmiernie był uszczęśliwiony takim żony usposobieniem, bo ono mu dawało sposobność do kłótni, bez której już obejść się nie mógł, przywykły do niej w niewoli. Więc teraz na pyszne jój zagadanie krzyknął żwawo a z góry:

— A ty babulu! miarkuj język a zastanawiaj się nad tem co pleciesz! a któż to twojego syna państwem a rycerstwem obdarza jeśli nie Niemiec z krwi i kości?!

— Ty sam pleciesz! — odrzyknęła Hansowa — ty sam zastanawiaj się nad tem co mówisz: a cóżby się stało z twoim Niemcem ze krwi i kości, gdyby mój dzielny Hans choć mało przezeń nie ubity, ranny i chory, przecież z wdzięczności swój pocziwój dla Łoktkowej pani, nie ocalał był tego licha z powozu, sądząc że księcia Łoktka ocala!

Tak się kłócąc śmieli się przecież do siebie radośnie oboje Hansowie, uszczęśliwieni na nowo ujrzanym rodzinnym krajem, a nadewszystko synem dzielnym rycerzem i wielkim panem.

Tymczasem wojacy w świetlicy spali dawno, ale nie wszyscy. Stało się, że po jakimś czasie spokoju i ciszy, rycerz zmiarkował po tłumionych z trudnością Hansa wdychaniach, że młody wojak nie śpi. Wstał więc sam w czem go Hans natychmiast naśladował, bo ludziom czynnym, silnym i nigdy niestrudzoną z przywyknienia do trudów, nieznośną jest rzeczą leżeć bezsennie. Obaj wyszli cicho przed dworek aby śpiących towarzyszy nie budzić i siadłszy w ganku, otoczeni cichą gwiazdźdźistą nocą, zaczęli się wzajem wypytywać o powody bezsenności nieznaną im obu zazwyczaj. Hans zapytany o to, wyznał natychmiast że kamieniem leży mu na sercu i spać nie daje, niespełnienie dotychczasowe rozkazu księżny Władysławowej Łoktkowej.

— Odkąd stanęliśmy na polskiej ziemi — mówił dalej Hans — dopytuję ja się ciągle o księcia kujawskiego, otóż wiem, że książę ten nie szalała żaden jak utrzymują krzyżacy i Mistrz ich, lecz przeciwnie dzielny i prawdziwy z prawa ojców dziedzic Polski, nie tylko odnalazł się znou, może z pielgrzymki owój ślubowanej pewno do Rzymu wróciwszy, ale nawet jak słyszę, dalej praw swych dochodząc opanował dużo potężnych

polskich warowni na nieprzyjaciółach i sam Kraków zdobył! Osadził tam podobno w zamku wawelskim żonę swą z dziećmi, moją przezacną panią i opiekunkę, a sam kędyś na północ przeciw wrogom grożącym polskim granicom pojechał. A otóż podobno, co nie pewne jeszcze bom wczoraj dopiero o tém posłyszał, wrogi jego acz krewni ze Szlązka, czy też sami podobno Niemcy w Krakowie osiedleni, zamierzają Kraków ubiedz i kujawską a dziś krakowską księżną panią moją zeń wygnąć wraz z dziećmi! Oj biednaż to biedna, ta wypędzana a przepędzana z własnych dziedzin a zacna nad zacnemi pani!.. — Tak mówił Hans i przy ostatnich wyrazach aż mu się coś do łkania podobnego wyrwało z młodzieńczej, wdzięcznej za doznane dobrodziejstwa piersi. Ale nic więcj nie śmiał Hans powiedzieć, ani pisał nawet jak bardzo radby biedz do Krakowa ptakiem, bronić swój pani, bo dobrze wiedział jak okrutnie spieszno było przybranemu ojcu do Malboga, a za serdeczne jego kochanie nie miał serca opłacić mu prośbą aby go samego puścił do Krakowa. Ale rycerz nawzajem doskonale zrozumiał co się działo w duszy młodzieńca i to nawet czego on się strzegł wypowiedzieć. Chciałby był najchętniej synowi dogodzić i szanował bardzo to uczucie które go teraz do Krakowa pędziło, lecz sam gwałtownie musiał spieszyć do Malboga, a syna puścić od siebie ani mógł ani chciał, dla wielkiej serca tęsknoty; nie wiedząc tedy co czynić, sprzecznymi rozerwany uczuciami, westchnął rycerz strapiiony z głębi potężnej piersi, tak ciężko i żałośnie, że aż serdeczny żal opanował Hansa ze względu na dobrego przybranego ojca, więc rzekł Hans:

— Panie ojcze -- bo wiedział że tem mianem przyjemność robił ojcu — nie frasujcie już wy się mojemi kłopotami, a o sobie tylko myście, bo wy zahartowany w bojach chrześcijański rycerz, może nawet i nie czujecie tak jak ja czuję błachych takich kłopotów.

— A oto i w tém mylisz się synu — rzecze rycerz dziwnie a przeciągle jakoś wdychając — mylisz się bo nie tylko że ja czuję i rozumiem twoją zgryzotę, ale nawet szanuję ją, jak ci to już mówiłem, bo ona właśnie charakter prawdziwego rycerza znamionuje, a prócz tego, wiedz, że muszę współczuć z tobą, ponieważ sam bardzo podobną zgryzotę noszę w duszy: tak samo, do dzisiaj, do siwych włosów, nie zdołałem jeszcze dopełnić rycerskiego obowiązku włożonego na mnie rozkazem świętobliwej szlachetnej damy, której barwę noszę.

— Ah! — wykrzyknął Hans młody, więc ciękawy -- czyliż do tój to rzeczy odnosi się damska



przepaska błękitnej barwy która na hełmie naszym powiewa, panie ojczy? O! jakże ja byłem zawsze tego ciekawy!

— Jeżeli ciekawy jesteś, chętnie ci to opowiem — rzekł rycerz smutno — tém chętniej, abyś ty, przyszedł rycerz, wiedział jak trudne do spełnienia acz łatwe z pozoru bywają czasem obowiązki nasze rycerskie, i abyś przeto nie dręczył się tak okrutnie tém, że twoich nie mogłeś dotąd dopełnić. Jak wiesz, oddałem ja od najpierwszej młodości mej, miecz mój na usługę krzyża i tylko ze względu że swobodę nadewszystko cenię, nie zostałem zakonnikiem krzyżackim. Bałem się aby wielka miłość swobody, nie naraziła mię kiedy mimowolnie na uchybienie surowym obowiązkom zakonnego posłuszeństwa, i dla tego postanowiłem pozostać świeckim rycerzem, starając się tylko wszelkimi siłami zasłużyć sobie na zaszczyt noszenia przynajmniej czasami świętobliwej sukni krzyżackiego rycerskiego zakonu. Z powodu takiego to usposobienia mej duszy, wołałem ja prawdziwie przelewać nieskapo Bóg widzi, krew moją w bojach z Saracenami i potworami, niż w turniejowych walkach przed oczyma dam szlachetnych. Ztąd stała się rzecz niezwykła w rycerskiem bractwie, że do późnego wieku, bojując bezustannie i to bojując chlubnie, walczyłem nie pod inną barwą, jak tylko tego godła zbawienia które na płaszczu mym nosić zasłużyłem. Ale, kto wie czyli nie słusznie mówią ci, którzy utrzymują że dla rycerza niema sposobu innego, innej drogi pośredniej, jak tylko służyć całkowicie Bogu lub zacnej damie, ponieważ takie jest naturalne przeznaczenie prawdziwego rycerza. Może tak jest, gdyż i na mnie przyszła kreska taka, że obchodząc się długo bez barwy, przecież w późnym już wieku przyjąć ją musiałem. Było zaś tak że, lat temu kilkanaście czyniwszy postanowienie pielgrzymowania do grobu Chrystusowego taką drogą jaką doń nie jeździł nikt jeszcze z rycerzy, puściłem się w tę drogę, ani patrząc ani wiedząc przez jakie państwa kraje i przeszkody, ale tylko kierując rumaka prosto na wschód, zaraz od bramy zamku mego na Richardsdorffie, z zamiarem aby go w swoim czasie na południe skierować do Azji. Tak jadąc, po wielu już dniach podróży, wjechałem ja w góry jakoweś i doliny i na okół mnie zapanował popłoch jakiś okrutny. Lud uciekał na wszystkie strony jakby od zwierza dzikiego gnany, w strasznej rozpaczy. Pomiędzy temi strwożonemi tłumami ujrzałem równie strwożoną lecz bez popłochu, gromadkę świętobliwych niewiast, zakonnic świętego Franciszka, co od razu po sukniach poznałem. Krzepiły się one śpiewaniem pieśni pobożnej i to

ich od zbytniego popłochu chroniło. Wśród tej to świętobliwej gromadki, ujrzałem obraz tak rozdzierający, że wzruszył on nawet moje serce, zahartowane przecież na wzruszenia. Trzy maleńkie dziewczątka, dzieciny jeszcze, widocznie wysokiego rodu biegły za jedną z zakonnic, czepiając się jej szat i rzewliwie płacząc. Tak samo płakała i ta zakonnica która tak jak i jej towarzyszka, również każdym ruchem i godnością w całej postaci wyrytą, wysoki ród i znakomitość zdradzała. Za dziewczátkami niewielki lecz znakomity szedł orszak, usiłując je łagodnie i z uszanowaniem od zakonnicy oderwać, a zakonnicę tak samo z wielkiem uszanowaniem usiłowały uprowadzić towarzyszki. I zakonnica i dziewczątka same z siebie usiłowały się też widocznie rozstać wszelkimi siłami, mociując się z sercami własnymi aby spokojną godność i powagę właściwą wysoko urodzonym damom zachować, ale niestety ból serc rozdzierających się w chwili rozstania i to w niebezpieczeństwie jeszcze, silniejszym był nad zasady wychowania i wrodzoną godność nawet: biedne dziewczątka i zakonnica ścisły się, rozstawały, żegnały ze sobą i znowu ścisły, a dzieciny tak rozdzierającym przytęm odzywały się okrzykiem, że acz mowy ich nie rozumiejąc, łatwo w okrzyku tym poznałem wyraz: matko! matko!.. — Widok ten jak powiedziałam wzruszył mię głęboko; łatwo się było domyśleć, że dama jakaś, znakomitych dam zwyczajem, po owdowieniu wstąpiła do zakonu pozostawiając na świecie trzy małe jeszcze dzieciny, z którymi teraz przy najściu jakimś wojennem rozstawać jej się zupełnie przychodziło, gdy musiała z rozkazu duchownej zwierzchności wraz z całym zakonem zgromadzeniem w odległą jakąś udać się okolicę. Wzruszony, nie namyślałem się wcale, zsiadłem z konia, przykląknę przed damą zakonnicą i jej małemi córeczkami i rzekłem wskazując na krzyż na mym płaszczu wyszyty:

— Pani! rycerz chrześcijański jestem: czuję że obawa o te dzieciny podwaja ci gorycz rozstania, otóż, jeżeli to ci ulgę przynieść może, to przyjmij słowo moje rycerskie, że odprowadzę dzieciny te na miejsce ich przeznaczenia, lub zginę w ich obronie!

Na te słowa moje które jak widać zrozumiała dama - zakonnica, podniosła obie ręce dziękczynnie ku niebu i łzami się zalała na nowo, a potem skinęła na najstarszą z dziewczątek przed którą dotąd w oczekiwaniu klęczałem, a dziecina ta oczywiście córa rycerska, natychmiast zdjęła swą przepaskę i do hełmu mego przytwierdziła ją małemi rączkami. Ta to jest przepaska której pochodzenia ciekawy byłeś mój synu. Nie mogę



ja zdjąć jej z hełmu do tej chwili dla tego, że dziwnym, niesłychanym wypadkiem, nie wypełniłem dotąd rycerskiego słowa mego! — Na te słowa rycerza, Hans przyszył rycerz aż drgnął z przykrego zdziwienia:

— I jakże to być mogło? — zapytał.

— Zbiegiem okoliczności fatalnych — smutno powiedział rycerz — matka owych dziewczątek z trudem rozmawiająca ze mną, w moim języku i z łacińska trochę, powiedziała jednak wyraźnie, że mam je odprowadzić: do Krakowa na Wawel.

— Do Krakowa na Wawel! — krzyknął Hans — do Krakowa na Wawel?! A więc to polskie jakieś panie były! a przyczyną popłochu chyba jakie najście tatarskie! któż one mogły być?! Musiały to być polskie księżniczki!.

— Najście tatarskie — z namysłem powtórzył rycerz — a może to być, bo nazwę Tatarów słyszałem wciąż powtarzaną i widziałem nawet Tatarów, ale nie o Tatarów mi chodziło wówczas. Matka kazała mi odprowadzić dziewczątka do Krakowa, prowadziłem tedy, ale, nie znając wcale drogi, mieczem mym tylko mogłem im służyć w podróży, mieczem i własnym życiem, za przewodników zaś miałem poważnego pana i równie poważną panią ochmistrzynią widocznie, stanowiących wraz z dwoma zbrojnemi orszak dziewczątek. Otóż byliśmy po kilka razy w niebezpieczeństwie, musieliśmy kilkakrotnie zbaczać zupełnie z drogi zagrodzonej nam już przez nieprzyjaciela, aż nakoniec po dość dłużej i dość uciążliwej dla dziewczątek i ich towarzyszeki podróży, dostaliśmy się nareszcie do ludnego miasta, a ja, obsypany podziękami, przy odjeździe dopiero z zamku w którym dziewczątka zamieszkały, dowiedziałem się, że zaprowadziłem je... do *Poznania!*

Hans klasnął w ręce ze zdumienia, rycerz po chwili mówił dalej:

(D. c. n.).

## TRZYNASTOLETNI PODRÓŻNIK.

Podróże w dawnych czasach miały zupełnie odmienny charakter niż w dzisiejszych, gdy cywilizacja usunęła z drogi tysiące niebezpieczeństw i przeszkód. Ztąd też nie obudzają już one owego zaciekawienia i zapału co dawniej, a jedynie wyprawy w dalsze i nieznanne krańce świata mają swoich bohaterów, który już nie przez chciwość wrażeń, lecz dla dobra nauki i dla szerzenia oświaty, narażają życie swe na niebezpieczeństwa w odle-

głych wycieczkach. Niebezpieczeństwa te wszakże są innej natury; niema tu już owych tysiącznych nadzwyczajnych przygód i walk, które tak zajmowały dawniejszych podróżników, że od dzieciństwa nieraz marzyli o nich, a następnie życie całe im poświęcali. Do tego rodzaju wędrowców należał u nas za czasów saskich, Stanisław Tomasz Wolski, autor słynnego wtedy dzieła, w którym sam opisuje swe przygody. Był on wnukiem Miłkołaja Wolskiego fundatora klasztoru Kamedułów na Bielanych krakowskich; urodził się zaś w Uniejowie w dyecezyi gnieźnieńskiej w 1700 roku.

Odważny i pobożny jak prawdziwy rycerz średniowieczny, od lat dzieciennych sposobił się do życia pełnego przygód, które później umiłował tak namiętnie, że jak to sam powiada, licząc zaledwie rok trzynasty, opuścił dwór Jana Czapskiego kasztelana chełmskiego, u którego się wychowywał i powziął myśl zwiedzenia obcych krajów i nieznanych okolic rodzinnej ziemi. Przebiegając ciemne litewskie lasy, dostał się na brzeg Niemna, gdzie spostrzegłszy małą łódkę, chwycił za wiosło i bez myśli o jutrze, w nadziei zwiedzenia nowych nieznanych okolic, puścił się z biegiem rzeki. Nad wieczorem po całodziennej podróży, zobaczył miasto, które na poblizkiem wznosiło się wzgórzu, ale zaledwie stanął w jego bramach, spotkał miejscowego proboszcza, który go zapytał, zkąd i dokąd dąży? a zważając zbyt młode jego lata, namawiał go, ażeby zaniechał dalszej podróży, a pozostał w jego domu i zajął się nauką, do której obiecał mu dostarczyć potrzebnych i budujących książek. Niepokojny i chciwy wrażeń umysł młodego chłopca, nie znajdował dostatecznej stawy w obrębie małego miasteczka, w skromnem zaciszu plebana; po dwóch więc miesiącach Tomasz opuścił dom jego. „Wkrótce” mowi dalej, powziąłem myśl uskutecznienia dawno zamierzonej podróży, więc w niedługim przeciągu czasu skończywszy lat trzynaście przebiegłem Szlązk, Niemcy, Czechy, Austryję, Tyrol, Bawaryję i t. d. Tak więc zapalony do podróży młody chłopiec zwiedzał najciekawsze miasta, jako to: Pragę, Wiedeń, Monachjum, Tyrol, Trydent, znajdując wszędzie w drodze pomoc i opiekę, czego znów w dzisiejszych czasach trudnoby znaleźć podróżnikowi w jego wieku. Wszędzie podziwiał wspaniałe kościoły, zamki i pomniki, nareszcie po kilku miesięcznej podróży ruszył z powrotem do ojczyzny przez Wrocław; zajrzał po drodze do Trzebnicy, gdzie w kościele benedyktyńskim modlił się przy grobie Ś-tej Jadwigi, a natchniony lepszą myślą w miejscach cudownych i wrażeniami tam zaczerpniętymi, postanowił w chwili rozwagi, odłożyć na czas późniejszy dalszą pielgrzymkę, a wzięść się



do nauki i pracy, której poczuł potrzebę i ocenił wartość pod wpływem doświadczenia, nabytego w tej pierwszej młodocianej podróży. Z tą myślą przybył do Warszawy i oddał się pod kierownictwo księży Pijarów, a dopiero ukończywszy nauki, przedsięwziął podróż do obcych krajów. Otrzymałszy wtedy listy rekomendacyjne do różnych dworów cudzoziemskich, wyjechał z Radomia na Kraków i Ołomuniec do Wiednia w 1725 roku już jako dorosły młodzieniec. Tu na samym wstępie, niemiła spotkała go niespodzianka, albowiem z powodu zbliżającej się wojny, wyszedł rozkaz cesarski, ażeby władze policyjne aresztowały osoby noszące strój pielgrzymów; otóż Wolski nie wiedząc o tym mandacie, obiegał pałace i kościoły, w których spodziewał się znaleźć przedmioty godne widzenia, nareszcie kiedy z towarzyszem swym, również pielgrzymem, wszedł do kościoła Ś. Stefana podczas niesporów, żołnierze zastąpili im drogę na ulicy i obsypali pogroźkami, a jeden z nich popchnął go zuchwale, co tak oburzyło Wolskiego, że nie mógł pohamować gniewu i uderzył winowajcę, widząc to inni, ujęli obojwóch przyjaciół poprowadzili i wtrącili do więzienia, gdzie za żelaznymi kratami przepędzili noc całą. Nazajutrz zaprowadzeni zostali do komisarza cesarskiego, przed którym wytłumaczył się nasz rodak niewiadomością ustawy miejscowej i pokazał mu paszporta, jakoteż inne świadectwa i listy rekomendacyjne; w skutku czego wypuszczony został na wolność. Przybywszy następnie do miasta Gratz, tak o nim mówi: „Gród ten uchodzi za najważniejszy punkt w całym kraju, a to z powodu obronnego zamku na wysokości górze zbudowanego; mieszka tutaj wiele rodzin szlacheckich i zamożnych; położenie miasta jest dziwne piękne i urzmaicone wzgórzami. Na drugi dzień po moim przyjeździe byłem świadkiem kary śmierci, która wykonaną została nad dwiema kobietami za zabójstwo. Niektórzy z przytomnych tej egzekucji, zauważywszy mój strój pielgrzymi, powiedzieli mi, że jeżelibym zechciał ocalić od śmierci którąś z tych niewiast, powinienem oświadczyć tylko, że ją pojmem za żonę, a wyrok natychmiast zawieszony zostanie, ale z oburzeniem odparłem tak niegodną propozycję”.

Z Gratzu pojechał do Trjestu a stąd morzem popłynął nasz wędrowiec do Wenecji, gdzie na samym wstępie zostaje zachwycony i zdumiony pięknnością miasta, którego szerokie kanały i pyszne pałace czarujący przedstawiają widok; przedziera się więc przez tłumy ludu, zapelniającego place i udaje najprzód do polskiego posła, któremu oddał paszporta i pokazał listy rekomendacyjne, a odebrałszy od niego w zamian obietnicę pomocy

i życzliwą radę względem dalszej podróży, przypomniał, że ma jeszcze jeden list do wręczenia od Chomętowskiego, wojewody mazowieckiego, do Zacharjasza obywatela weneckiego, w którym poleca swego rodaka względem tego męża. „Zacny ten obywatel”, mówi Wolski, „dowiedziawszy się, że mam zamiar odprawić pielgrzymkę do Jerozolimy, natychmiast ofiarował mi swoje usługi.

Przepędziwszy jednak dni kilka w Wenecji, zmienił Wolski dawny projekt, zamiast więc co miał popłynąć stąd na Wschód, postanowił pierwiej zwiedzić Rzym i znakomitsze miasta włoskie. Udał się zatem do Padwy, był w Assizie, gdzie z wielkiem nabożeństwem uczcił grób Ś-go Franciszka i rozpa miętywał legendy o jego cudach. Młody pielgrzym, z gorączkowym biciem serca powitał następnie mury starego Rzymu; zaczął od zwiedzenia bazyliki Ś. Piotra i Watykanu a oglądając następnie stare pomniki cesarzów, posągi, kolumny, szczątki świątyń pogańskich i pyszne kościoły, przebiegał myślą historję Rzymu, dzieje pierwszych chrześcijan i męczenników, a każdy niemal kamień miał dla niego szczególną legendę, którą w opisie swoim powtarza: W czasie jego pobytu w Rzymie, odprawiał się tam Jubileusz, więc był wielki napływ pielgrzymów z różnych stron świata, których pochód tak opisuje: „Widok wielce budujący przedstawiał się moim oczom, tłumy ludu ciągnęły zewsząd, jedni czołgali się na kolanach z ciężkimi krzyżami na plecach, drudzy grubemi łańcuchami spowici inni znów z koronami na głowie cierniowemi, których kolce wbite były głęboko, tamci znów na pamiątkę męki Zbawiciela biczowali się srodze.“ Kiedy po odprawieniu jubileuszu wychodził papież z bazyliki Ś. Piotra, zbliżył się do niego Wolski, a przykleknąwszy i ucałowawszy jego stopy, rzekł: „Udaję się Ojczy Świątej w podróż do Jerozolimy, w celu odwiedzenia grobu Zbawiciela, proszę cię więc o błogosławieństwo na drogę.“ Przeżegnał mnie papież, powiada, a ja uradowany jego widokiem, ucałowałem powtórnie stopy i poszedłem do gospody.“ Polacy znajdujący się w Rzymie podczas Jubileuszu mieszkali w gospodzie Ś. Stanisława, w niej przebywał także nasz wędrowiec; owóz pewnego razu zaszedł do tej oberży marszałek domu margrabiego Cafarelli, bogatego obywatela rzymskiego i zażądał w imieniu pana, ażeby jeden z pielgrzymów raczył udać się z nim do parafjalnego kościoła, gdzie ma trzymać do chrztu syna margrabiego, następnie przystąpił do Wolskiego i zaprowadził go do przeznaczonego miejsca. „Nie wymawiałem się bynajmniej od tej nabożnej posługi,“ mówi autor podróży, „owszem zostałem chętnie ojcem chrzestnym dziecka margrabiego,



za co on, ugościł mnie potem wspaniale w swoim pałacu i przez cały czas trzech miesięcznego pobytu w Rzymie mieszkałem w jego domu i hojnie podejmowany byłem.“ Przez trzy dni po ukończonym Jubileuszu odbywały się różne igrzyska z okoliczności ślubu króla francuzkiego z Marią Leszczyńską, córką Stanisława króla polskiego; muzyka, śpiewy i ognie sztuczne urozmaicały tę uroczystość. Wyjechawszy z Rzymu dążył Wolski do portu, gdzie spodziewał się znaleźć okręt, na którym mógłby popłynąć do Jerozolimy; na drodze spotkał wędrującego cudzoziemca, który dowiedziawszy się, że on jest polakiem, ofiarował mu swoje usługi i obiecał być wiernym towarzyszem podróży. Z opowiadania jego dowiedział się, że był nie dawno w niewoli tureckiej a oswobodzony z niej po wielu przygodach dostał się do Włoch. „W jego towarzystwie“ mówi dalej Wolski, „zatrzymałem się w klasztorze OO. Kapucynów, oczekując na przybycie okrętu.

Wylądowawszy potem na wyspie Malcie, podziwia Wolski zamki warowne kawalerów maltańskich, jakoto jeden pod nazwą Michała Anioła i drugi Emanuela, następnie rozwodzi się nad zakonem rycerzy jerozolimskich, o których ustawie-i obyczajach, między innymi mówi: „Wielka wiara zagrzewała serca owych Chrystusowych żołnierzy, których jedynym celem i największym zaszczytym jest gromić niewiernych a igraszką są dla nich tysiączne trudy i niebezpieczeństwa, ba! nawet śmierć sama. Zaciągają się do ich zgromadzenia kawalerowie różnych europejskich narodów, a kładą za główny warunek przyjęcia, że każdy dowieść musi, że jest szlacheckiego rodu i jako żaden z jego przodków nie popełnił nikczemnego czynu, potem uczyniwszy śluby zakonne, przez lat dwa pozostaje w nowicyacie, w przeciągu którego to czasu musi przedsiębrać różne podróże na morzu, a skoro spostrzeże jaki turecki okręt, obowiązuje się go napaść i pogromić. Mistrz zakonu, po upływie lat dwóch nowicyatu, wkłada na rzeczzonego rycerza suknię białą, która ma oznaczać godność kawalerów maltańskich; jeżeli zas odznaczy się jakim znakomitym czynem w walce przeciwko Turkom i przyprowadzi z tryumfem do portu Malty zgromione i zabrane okręty, otrzymuje w nagrodę od mistrza jakie dowództwo lub urząd. Nowego mistrza obierają kawalerowie większością głosów, a jeżeli w przeciągu lat trzech na obiór się nie zgadzają, po upływie tego czasu wybór zawisł od papieża. Gdy Turcy lub inni poganie grożą potęgą zakonu, wtedy mistrz okólnymi listami wzywa do obrony kawalerów ze wszystkich stron świata, a każdy powinien stawać na zawołanie i niczem od tego wymówić się nie może. Mistrza osoba

otoczona jest powagą i przepychem prawdziwie królewskim. Liczba niewolników tureckich dochodzi do cyfry 8,000; wystawieni są na sprzedaż i ci tylko, za których wypłacą nabywcy żadaną sumę, wypuszczeni bywają; wszyscy zaś inni pozostają na zawsze w usługach zakonu. Ludność całej wyspy wynosi 80,000 dusz; miasto ozdobne jest cudnymi pałacami, wodotryskami itd.”

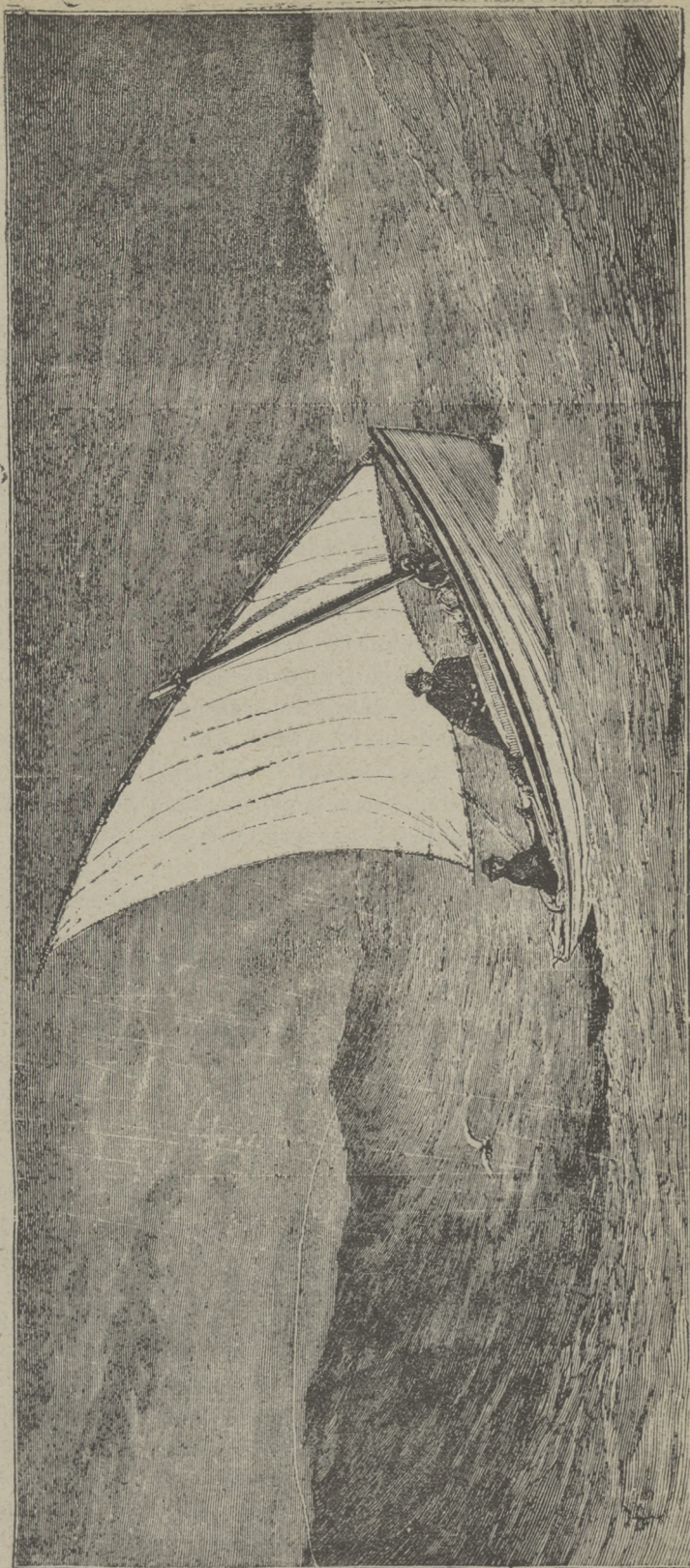
Daléj tak podróż swoją opisuje autor: „W dzień Ś. Józefa przybył okręt francuzki, który miał przybyć do Syryi; nie omieszkałem więc skorzystać z téj sposobności i wraz z O. Misyonarzem którego poznałem w Malcie, udałem się do kapitana a nazajutrz wyruszyliśmy w drogę. Zaledwie upłynęliśmy mil dwanaście, zerwała się ogromna burza, a wicher tak silnie miotał okrętem, że nie mogliśmy ustać na nogach, po wielu nareszcie trudach i niebezpieczeństwach, ujrzelśmy wyspę Cerigo blisko Archipelagu, a skoro statek nasz dobijał do przystani, leżącej pomiędzy dwiema skałami, spostrzegliśmy z żywą radością czerwoną flagę ze znakiem lwa i krzyża, wywieszoną na wieży zamkowej, domyśliliśmy się bowiem, że wyspa ta jest posiadłością wenecką. Różnorodna ludność zamieszkuje na téj skalistej wyspie, która ma jedno tylko miasto i kilka wiosek. Zamek niewielki ale dobrze zbudowany i obwarowany, wznosi się blisko przystani, na straży przeciwko napadom Turków; podczas trzechdniowego naszego pobytu tutaj, kapitan zalecił nam mieć broń w pogotowiu i dawać ciągłe baczenie na to, ażeby Turcy nie naszli nas niespodzianie. Kapitan rozkazał zapuścić sieci, tymczasem nim połów ryb ukończony został, Grecy poczęstowali nas ślimakami, które na ogniu w pewnej chacie upiekli, poczem udaliśmy się na spoczynek. Ale nazajutrz rano niemiłe miałem przebudzenie, żarłoczni bowiem Grecy przeznaczone dla mnie ryby zjedli, a że zostało jeszcze kilka sardynek, prosiłem żeby mi takowe oddali; niegodziwcy odmówili mi tego nędznego posiłku i łajali mnie tylko.

„Korzystając z pomyślnego wiatru puściliśmy się w dalszą podróż i wkrótce ujrzelśmy wyspę Kretę czyli królestwo Kandyi, które nieszczęśliwem zrządzeniem losu, dostało się w ręce bezbożnych Turków, po długiej i uporczywej walce ze strony Wenecyan. Kandyja również jak sąsiednie królestwo Cypru, długo wytrzymywała oblężenie przez lat dwadzieścia Wenecyanie bronili mężnie swęj posiadłości, ale zawiedzeni w nadziei otrzymania posiłków od chrześcijańskich mocarstw, musieli wkońcu ustąpić przed wzrastającą potęgą ottomańskiego cesarstwa. Równie pomyślny wiatr towarzyszył nam w podróży do brzegów Cypru; wyspa ta obfituje w ludne i bogate miasta, a wszę-



dzie pełno winnic i różnorodnych owoców, zamieszkują ją Turcy i chrześcijanie, po większej części Grecy. Katolików jest mała ilość. Na całej wyspie tylko jeden klasztor, OO. Franciszkanów, w którym znajduje się piękny wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa.

Pełno ucieśnych przygód opowiada Wolski w swojej podróży; tak np. skóro przybył do portu w Tripolis, gdy szedł do miasta w towarzystwie przełożonego zakonu, zdarzyło się, że ów towarzysz jego trącił nieumyślnie jednego Turka, z którym spotkali się w wąskiej bramie; urażony muzułmaniu dobył noża i groził mu że go przebije, ale skończyło się na postrachu i kłótwach; poczem Turek nagle złagodniał i żądał tylko od niego aby go pocałował. „Zabawny był dla mnie widok” mówił Wolski, kiedy wysokiego wzrostu przeor schylał się do ust nader maleńkiego Turka. Miasto Tripolis leży na równinie, ubarwione jest rozkosznymi ogrodami, w których winne latorośle, pomarańczowe i cytrynowe drzewa, cudnym widokiem i wonią upajają zmysły. Są tu klasztory Jezuitów, Karmelitów, Kapucynów i Franciszkanów, wstąpiłem więc do ogrodu OO. Kapucynów i rozkoszowałem się miłym zapachem pod cieniem drzew cytrynowych, następnie udałem się do miasta, a wyszedłszy za bramę spotkałem się z Turkami, którzy zapewne dla igraszki, zaczęli rzucić na mnie kije zaostrzone jak strzały, ale szczęściem unikałem niebezpieczeństwa i Turcy wkrótce porzucając tę nieprzyzwoitą zabawę inną poszli drogą. Miałem zamiar udać się ztąd łądem do Jerozolimy, ale przeor odradził mi tę podróż, z powodu napadów Arabów, którzy rozbijają i grabią po drogach. Dzięki Bogu, przybył do Tripolis statek grecki, na którym popłynąłem w towarzystwie Turków, Greków i Armeńczyków; pomiędzy nimi znajdował się młody Greczyn, który dobrze mówił



po włosku i powiedział mi że jest katolikiem, ale nie dowierzałem mu wcale, bo ci Grecy według potrzeby zmieniają religię i przyznają się nawet że są wyznawcami alkoranu, skoro interes z Turkami ich



łączy. I z portu Tripolis na pełne wypłynęliśmy morze, zmienił się nagle kierunek wiatru i zaskoczyła nas burza, więc z trudnością dobiliśmy do przystani i wyszliśmy na ląd szczęśliwie. Nieopodal od brzegu na szczycie góry był klasztor Bazylionów, podążyłem więc w tę stronę i zaszedłem do jaskini w części przez naturę, w części sztuką wyżłobionej w skale; zdarzyło się że kiedy wchodziłem do tego kościoła, odbywały się nieszpory i Bazylianie śpiewali psalmy. Skoro mnie ujrzeni księży, podali mi kule w kształcie półkrzyżów, ażebym się na nich opierał, bo ławek nie było wcale; podziękowałem im zrazu za tę usługę, ale tak silnie nalegali na mnie, że musiałem w końcu skorzystać z ich grzeczności. Po ukończonych nieszporych zaprosili mnie na wieczerzę; usiadłem za ich przykładem po turecku, bo żadnego krzesła ani ławy w całym klasztorze nie było; słomiankę rozesłali na ziemi zamiast obrusa i postawili potrawy, które się składały z kaszy pszennej warzonej, z jakiegoś ziela zaprawionego octem i solą i z oliwek smażonych; stłumiłem o ile było w mojej mocy odrazę i owszem kosztowałem tych potraw i udawałem że mi smakują. Po wyjściu z klasztoru zauważałem że spór zaszedł pomiędzy majtkami, usiadłszy więc na becze przypatrywałem się ich kłótni, ale nagle jeden z tych Greków rzucił się na mnie, powalił na ziemię i porwał za beczkę; gotów był roztrzaskać mi głowę, gdyby nie nadbiegli inni i nie ocalili mnie od tego zamachu. Dowiedziałem się z ich opowiadania, że powodem wściekłości Greka było podejrzenie, jakobym posiadał dużą ilość złota, tak więc cudem Boskim ocalony zostałem od śmierci. Nie bez trudów i niebezpieczeństw, mówi dalej autor, przybyliśmy do Bejrutu, gdzie wysiadłszy poszedłem najprzód do klasztoru OO. Kapucynów i odwiedziłem ich kościół, w którym dziwny zastanowił mnie widok. Kobieta stojąca nad grobowcem od rana aż do południa głośno wydawała jęki, a skoro zapytałem się księży o przyczynę, powiedzieli mi, że jest zwyczaj dawny w tych stronach, że żony po śmierci mężów przez czas żałoby t. j. przez rok cały obowiązane są codziennie w ten sposób okazywać żal swój po stracie małżonków nad ich grobowcem. Po obiedzie u OO. Kapucynów wyszedłem z nimi na miasto, w którym pokazywali mi przedmioty godne uwagi; między innymi widziałem piękny pałac, zbudowany w stylu europejskim, właściciel jego dawny pochodził z zamożnej książęcej rodziny, a napodróżowawszy się po różnych stronach świata za młodu, wrócił do Bejrutu i postawił pałac z tak wysoką wieżą, ażeby mógł z niej wyspę Cypr dosięgnąć okiem, ale skoro wieść o tém doszła do uszu tureckiego sułtana, kazał go

powiesić za to, że w budowie pałacu naśladował architekturę chrześcijańską. Skoro stanęliśmy na jednym z placów miasta, ujrzelśmy zgromadzonych Turków w około śpiewaka, który trzymając muzyczny instrument o dwóch strunach, przebiegał po nich palcami i zawodził jakąś pieśń arabską, wcale nie wdzięczną dla ucha. Zaciekawiony tym widokiem śmiesznym i poważnym zarazem, zapytałem mego towarzysza, jaka jest treść jego śpiewu, na co odebrałem odpowiedź, że Arab opowiada przygody i nieszczęścia swojej niewoli u chrześcijan, ich obyczaje, nabożeństwa i obrzędy, co wszystko w żywych obrazach, w rytmicznej wyraża mowie. Po tej wycieczce powróciłem do klasztoru z zamiarem przenocowania tamże, ale Grek mój towarzysz, który mówił po włosku, radził, ażebym nie odbywał dalszej podróży morzem z powodu nieprzyjaznych wiatrów, a raczej udał się z nim razem lądem do miasta Sidonu, zarazem zaprojektował ażebyśmy przenocowali w znajomej mu gospodzie. Nie posądzając o złe zamiary Greka, który najwierniejszego udawał przyjaciela, zgodziłem się na to i poszedłem do wskazanego przez niego domu. Pokój do którego udaliśmy się na spoczynek, podobniejszy był do chlewu niż do gościnniej izby, ale potrzebując wypoczynku położyłem się na przeznaczonem dla mnie pościelowiu ze słomy, mój zaś towarzysz legł nieopodal odemnie. Jakby przeczuwając coś złego nie mogłem długo zamknąć powiek, oczekiwałem więc z niecierpliwością poranku, kiedy usłyszałem że Grek podniósł się z pościania i cicho skradał się ku mnie, a doczołgawszy się do mego wezglowia wyciągnął rękę i zaczął szperać pod poduszką, następnie przetrząsał moje rzeczy. Nic poruszyłem się wcale i udawałem śpiącego, aż w końcu kiedy po próżnem poszukiwaniu miał wrócić na swoje miejsce, rzekłem: daremna twoja praca mój bracie, bo pieniędzy nie mam wcale. Zaczął się wtedy tłómaczyć, zaklinając się że nie miał żadnej złej myśli i że chciał tylko wygodniejszą dać mi poduszkę, przyczem ostrzegał mnie, żebym nie dowierzał jego towarzyszom, chociaż sam był największym bez wątpienia łotrem. Przepędziwszy w tej gospodzie noc bezsenną, z nadejściem poranku, puściliśmy się w dalszą drogę na koniach mułach i osłach. Wyjechawszy z gęstego oliwnego lasu napotkaliśmy chatę, w której Turcy stali na straży; tu musieliśmy opłacić cło w pieniądzech tureckich, a skoro zapytałem się towarzysza Greka o powód tego poboru, odpowiedział mi, że ci żołnierze mieszkają tutaj dla bezpieczeństwa podróźnych, albowiem często bywają w tych okolicach wydarzenia grabieży i rozbojów”.

Po wielu trudach i różnych przygodach przy-



był nareszcie nasz rodak do Ziemi Świętej, gdzie opowiadania swoje według zwyczaju przeplata anegdotami. Grób święty tak opisuje: „Wielka tu jest ilość świeczników złotych i srebrnych zawieszonych w przedsionku do grobowca i w środku tegoż. Jeden z nich tak jest ogromny, że potrzeba przynajmniej trzech ludzi do podniesienia go, oprócz tego jest mnóstwo lamp ogromnych zawsze gorejących, które podarowane są przez katolickich monarchów, a różnią się od greckich Grecy o swoich dziwną wymyślili powieść, jakoby ogień z nieba je zapalał i jakoby płomień ich za dotknięciem nie był wcale szkodliwy; powiadają z powodu tej bajki śmieszną przygodę, która spotkała pewnego Chaldejczyka nestoryanina, kiedy bowiem chciał przekonać się o istocie cudu, za ledwie przyłożył brodę do ognia, natychmiast się zapaliła, ale okoliczność ta wyszła mu na dobre, bo jakkolwiek żałował utraconej brody, porzucił błędy nestoryańskie i gorliwym został katolikiem.

„Zbliżał się koniec roku 1726, a zatem pożegnawszy się serdecznie z przełożonym kościoła jerozolimskiego, wyruszyłem w podróż ku miastu Rama w towarzystwie tureckiej karawany. Ujechawszy pięć lub sześć mil od Jerozolimy, napotkałem bandę Arabów w polu, zaniepokojony więc przecuciem czegoś groźnego, zacząłem poganiać muła i uciekałem jak mogłem najprędzej, ale ostrożność ta nic mi nie pomogła, bo Arabowie pędzili za mną na chyżych koniach i z krzykiem zaskoczyli mi drogę, a jeden z nich ogromnym kijem wywijał już nad mą głowę; szczęściem, że odskoczyłem na stronę i uniknąłem ciosu, chowając się pomiędzy Turków, którzy starali się mię ochronić. Arabowie jednak nie chcieli dać za wygraną, owszem wskoczywszy w środek karawany, wyciągnęli mię i powalili na ziemię, w myśli żeby mię ochłostoć, ale nadbiegli znajomi moi Turcy i walkę rozpoczęli z rozbójnikami, a jeden z nich dopomógł mi powstać i wsiąść na muła. Po krótkiej utarczce Arabowie żądali okupu, ale że suma przez nichznaczona, przewyższała moją możność i takowej im odmówiłem, rzucili się i powtórnie ściągnęli mnie z muła na ziemię i byłbym zginął niezawodnie, gdyby nie pośrednictwo Turków, którzy im zaręczyli, że pięć skudów a może i więcej zapłacę, tak więc, za łaską Boską, ocalony zostałem od śmierci. Skoro po wielu niebezpieczeństwach przybyłem do miasta Ramy, nie na tém był koniec moich umartwień i widocznie chciał Bóg różnemi przykrościami doświadczyć mię w tej podróży. Zatrzymałem się w klasztorze OO. Franciszkanów, gdzie miałem nocleg wraz z pewnym łotrem, który również wracał z Jerozolimy; otóż w chwili,

kiedy położyłem się na łóżku i zabierałem się do spoczynku, ów niegodziwy zaczął miotać obelgi na święty nasz Kościół katolicki; zuchwałstwo jego doszło do tego stopnia, że nie mogąc ścierpieć dłużej podobnej zniewagi naszej religii, zerwałem się z łóżka i z całej siły zacząłem okładać butem jego plecy, aż w końcu uciekł z pokoju i ogromnym krzykiem przebudził OO. Franciszkanów, którzy wbiegli do mnie i pytali o przyczynę hałasu, a kiedy wymawiać mi zaczęli że robię burdę w klasztorze, odpowiedziałem krótko: „że zawsze i na każdym miejscu gotów jestem stanąć w obronie świętej wiary, chociażby najwidoczniejsza śmierć mi zagrażała”. Wyjechawszy z miasta Ramy zajechał nasz podróżny do wioski, leżącej u stóp góry na brzegu oliwnego lasu, gdzie przez Greka gościnnie utraktowany został, za co tenże żadnej nie chciał przyjąć nagrody.

(D. n.).

## O WŁASNEJ SILE.

Powieść  
przez M. Kr.

(Dalszy ciąg).

— Teraz — mówił dalej ksiądz — ten Kserkses, król perski, o którym dopiero co ci mówiłem, idzie ze swojego państwa, z Azji, stąd od za Hellespontem, idzie do Grecyi, a żeby ją zniszczyć i ujarzmić. Idzie najprzód Azyą aż do Hellespontu, ot tu, gdzie najmniej wody. W tém miejscu przeprowia się przez ten Hellespont do Europy, a ma wojska pięć milionów. Z temi pięcią milionami idzie podbić ten trójkąt i tych Greków; zawartych w tym trójkącie, na których ma dawną złość, a których jest zaledwo kilkadziesiąt tysięcy. Przeszedłszy Hellespont idzie w wojskiem swém nad brzegiem Archipelagu, ale doszedłszy do tych oto kropek, które ten trójkąt od reszty świata odgraniczają, a które są nieprzebytymi górami, staje, myśląc, któredyby do Grecyi, to jest do tego trójkąta się dostać? he? Kserkses myślał, pomyśl i ty, he?

— A tedy... — powiedział Władek, stawiając palec na kawałku pustego miejsca między Oetątabaką i Archipelagiem z wody.

— O! widzisz go jaki mądry, zupełnie jak Kserkses — rzekł ksiądz — ten przesmyk, na którym palec stawiasz, nazywał się *Thermopylai*, co znaczy po grecku: *strumień gorącej wody*. W istocie wytryskała tam woda gorąca i tam też pomiędzy górami i Archipelagiem był jedyny przystęp możliwy do owego trójkąta, to jest do Grecyi. Ale



Grecy nie chcieli dać się zawojować, a dzielili się oni na kilka jakby gmin, z których każda miała swego króla, wybrali tedy z pomiędzy innych, *Leonidas*, co znaczy *Lwa*, króla *Sparty*, dali jemu siedm tysięcy ludzi i powiedzieli:

— Stój na przesmyku zwanym *Thermopylai*, i Persów nie puszczaj do nas, gdyż na wązkim przesmyku jeden znaczy tyle co dziesięciu, ponieważ dziesięciu nie może stanąć przeciw niemu, tylko także jeden.

Leonidas w siedm tysięcy przeciw pięciu milionom stanął. Zobaczywszy tę garstkę broniącą wejścia, *Kserkses* zawołał:

— Złóżcie broń! — a Leonidas odpowiedział:

— Pójdź ją weź! — ale Persowie nie poszli po tę broń, bo takie wezwanie znaczyło: „pójdź się bić z nami”, a *Kserkses* nie chciał bić się z tą garstką ludzi gotowych na wszystko, bo tacy ludzie są straszni. *Kserkses* wołał cicho poszukać w okolicznych wioskach człowieka, Greka takiego, coby mu za pieniądze jeszcze jedno przejście przez góry pokazał, o którym że istnieje, Persowie słyszeli. W istocie istniało przejście podobne, znane tylko greckim pasterzom i Grek jakiego *Kserkses* szukał, któryby naprowadził Persów na braci swoich Greków, taki Grek, imieniem *Epiates*, znalazł się.

— Łotr — krzyknął *Władek*.

— I grzesznik — dodał ksiądz, a po chwili mówił dalej: Gdy Leonidas ujrzał Persów za sobą bez bitwy, wtedy widząc, że przejścia już im nie wzbroni, czemprędzej zanimby mu odwrót przecięto, odesłał żołnierzy swoich napowrót do gmin swych, aby tam na miejscu więcej ludzi naprzeciw Persom było, a sobie zostawił już tylko trzystu Spartan ze swęj własnej gminy. Z tymi zasiadł do uczyty, nakazawszy im „najeść się dobrze, ponieważ wieczerać będą aż na drugim świecie”, — a po tej uczcie chwycili wszyscy trzystu z Leonidasem na czele za broń i rzucili się w sam środek Persów, których zabiwszy bez liku i wstrzymawszy przez to pochód Persów, co Grekom w głębi kraju dało czas na przygotowania, Leonidas ze swymi trzystu towarzyszami padł zabity na tém miejscu, z którego mu kazano nieustępować. Później Grecy postawili na miejscu tém lwa z marmuru, z takim napisem: „Przechodniu! idź powiedz Sparcie, że tu jęj obywatele wypełnili powinność”.

Ksiądz już umilkł, patrząc *Władkowi* w oczy, a *Władek* jeszcze słuchał, aż ksiądz zapytał:

— Jak ty myślisz, chłopaku, czy ci trzystu dobrze zrobili, czy źle?

— Dobrze — bez namysłu powiedział *Władek*.

— A to dla czego? — ksiądz znowu zapytał.

A *Władek* tym razem długo się namyślał, zanim niepewnym głosem rzekł:

— Dla tego, że nie ustąpili.

— Ba, to i osieł potrafi, jak się uprze: bij zabij. Szukaj innej przyczyny; bo oni istotnie zrobili dobrze, tylko pytanie dla czego?

— Dla tego, że się dzielnie bili.

— Ho ho, moje dziecko, bić się dzielnie nie jeden rozbójnik potrafi, namyśl się jeszcze.

— Dla tego, że zrobili co im kazano.

— A gdybym ja tobie kazał iść wydrzeć funt tabaki organicie, bom właśnie resztę na *Oetę* wysypał, to tybys dobrze zrobił, gdybys spełnił mój rozkaz?

— Ale ksiądz proboszcz by nic takiego nie mógł kazać! — zakrzyknął *Władzio* cały w płomieniach.

— A to dla czego? — jeszcze głośnieję krzyknął ksiądz, dłońią w *Hellespont* klapnąwszy.

— Dla tego, że wydzierać cudzej własności się nie powinno — upierał się *Władek*.

— A, a to co tamci trzystu zrobili, czy się robić powinno? czy oni to zrobić byli powinni, czy nie powinni?

— Powinni! powinni! — wołał *Władek*.

— No, więc czy nie zgadłbys czasem, dla czego oni dobrze zrobili?

— Dla tego, „że spełnili powinność” — powolutku, z namysłem, ale pewnym głosem odpowiedział *Władek*, dopiero teraz przypominając sobie napis na lwie marmurowym.

— Otóż to tak gadaj — rzekł ksiądz — tak gadaj, a pamiętaj, że choćbys ty cuda robił i nie raz, ale dziesięć razy życie własne oddawał, to się cała twoja robota na nic nie zda, jeżeli powinności twęj nie będziesz wypełniał — to powiedziawszy zebrał ksiądz starannie górę z tabaki i w nos ją sobie pakował, gdy przed plebanią turkot chłopskiego wózka się ozwał wśród wycia śnieżnej zawiei. W pierwszej izdebce dał się słyszeć płaczliwy głos kobiecy, wzywający księdza do chorego.

— Moje dziecko, weź ty chyłkiem ściereczkę a zetrzyj wodę ze stołu, a zważaj na *Hellespont*, bo pod książki podplynie, a prędzej żeby się siostrunia o nieporządek nie gniewała — szeptał ksiądz, płaszcz wdziewając na siebie. I nim się *Władys* do *Hellespontu* zdążył zabrać, już starszek podążył do kościoła i wózek zaturkotał i ucichł wśród plusku i wichru. *Władek* ze ściereką w ręce stał nieruchomy nad stolikiem, patrząc na *Termopyle* między tabaką i wodą, a myśląc o księdzu, jadącym na trzecią wieś o północy i o tem, co mu o powinności powiedziano przed chwilą...

A w tém krzyk odezwał się w pierwszej izdebce:



— Dla Boga świętego a wszakże ten niedołęga zakrystyan dery zapomniał! Na taki wicher na taki plusk i śnieżyce, czemu się dobrodziej owinie?... a toć go do szpiku wicher przejmie i jutro po nim już będzie... — płakała p. Katarzyna, teraz dopiero wszedłszy do izby z czeladnicy. — Hęj Walek, na miłość Boską siadź na koń, zawieź derę. W tamtę stronę już nie dogonisz, ale dobrze choć się z powrotem dobrodziej owinie — wołała dalej, wybiegając do sieni, ale przypomniała sobie, że Walek jeszcze z miasta nie wrócił od rana i zapłakała już pocichu ale ciężko.

— Proszę pani ja siadę na bułanka i derę zawiozę. Wszak to do starego Antka do Godziębów chaty za cmentarzem ksiądz proboszcz pojechał? — rzekł Władek, biorąc grubą wielką derę sznurkiem związaną, która tam zawsze na ten cel na ławie leżała.

— A niechże ci Bóg nagrodi i rodzicom cię na pociechę wróci, dziecko moje! Do Godziębów chaty, za cmentarzem, tylko ostróżnie ty znów jedź! bo i tak o powrót już tylko idzie — wołała p. Katarzyna zdejmując z siebie wielką chustkę ciepłą i okręcając nią Władka. A kiedy on na malutkim koniku, przyjacielu swoim, w ciemną noc znajomą drogą z podwórka popędził, jeszcze dolaływały go błogosławieństwa staruszki w ganku stojącój.

— Przecież to chyba moja powinność zawieźć księdzu tę derę — rzekł sam do siebie Władek, poganiając bułanego. Ani pomyślał że jedzie sam jeden w ciemną noc, bo stał mu w myśli przykład Leonidasa.

Tak się uczył i tak się bawił Władysław u dwojga staruszków. A było tego przez całą zimę i wiosnę i lato; rok minął, jak z rodzicami chłopiec się rozstał; teraz zaczynał już dwunasty rok życia, ale na starszego wyglądał.

Przez ten cały czas i on sam, i oboje staruszkowie skrupulatnie przeglądali stopy podartych dzienników, jakie z parafii całej na plebanię przysyłano. W tych stosach znalazły się też rzeczywiście dwa ogłoszenia dotyczące Władka, a to jeszcze w pierwszym miesiącu po jego zaginięciu. W pierwszym ogłoszeniu upraszano o odprowadzenie Władka na stacyą kolejową, albo do Woli, albo do mieszkania w Warszawie, obiecując dużą nagrodę. Data tego ogłoszenia była zaraz z dnia następnego po Władka zniknięciu. Widać więc, że telegrafowano natychmiast na wszystkie strony bo nawet w dziennikach z odległych okolic było w kilka dni to samo ogłoszenie. Adresy rodziców były w niem te same jakie Władek wiedział i o których beużyteczności przekonały telegramy.

Druga wzmianka o Władziu znajdowała się

tylko w jednym, jedynym numerze; pod datą znacznie późniejszą; upraszano w niej o przysłanie wiadomości o zaginioném dziecku do pewnego adwokata w Warszawie.

Gdy p. Katarzyna która tę wiadomość znalazła, przypadła z nią do brata, proboszcz siadł natychmiast do stołu i do owego adwokata pod adresem w gazecie wymienionym napisał. Władysław liczył dnie i godziny koniecznie potrzebne dla dościa listu i przybycia odpowiedzi. Ale odpowiedź nie przychodziła i w końcu zmiarkowano, że nigdy nie przyjdzie. Wtedy proboszcz napisał list drugi, przypuszczając że pierwszy zaginął. Na ten raz, odpowiedź urzędowa pana adwokata nadeszła wkrótce; ale z dziwną wiadomością. Wypisywano tam datę, pod jaką Władysław Falski miał być znalezionym... w Wiśle. Widocznie jakieś inne utopione dziecko wzięto za Władka, bo nawet dodawano zaraz, że okoliczność zbyt długiego pozostawania zwłok pod wodą nie dozwoliła dostatecznie sprawdzić ich tożsamości; względem której jednak dla pana adwokata wątpliwość nie istniała. Z tem wszystkiem pozwalano jednakże przysłać sobie fotografią dziecka, które proboszcz nazywał Władysławem Falskim.

Taka odpowiedź zmartwiła ciężko Władysia. Mniejsza już o śmieszne żądanie fotografii której Władysław oczywiście nie miał, a której na wsi niepodobna było zrobić, ale Władysia strachem przejął cały ton listu owego, który wyglądał tak jakby się tylko pozbyć chciało korespondencyi. O tym liście z pewnością nie wiedzieli rodzice. Co więcej list ten brzmiał tak, jakby dziecko, o którym mówiono, wcale rodziców nie miało, ani nikogo, kto by o nie dbał. Władysław zdrewniał rozczytawszy się w nim, a staruszkowie oboje, uspokajając go i rozbudzając w nim odwagę, nie mogli przecież zaprzeczyć że on miał słusność. Nakoniec proboszcz rzekł:

— Ha, moje dziecko, choćby cię nareszcie i nieszczęście to spotkało, zawsze przypuścić trzeba, że została ci mała siostrzyczka, a w takim razie, masz już teraz po prostu obowiązek święty wyjaśnić, co się stało i tę siostrę wyszukać, bo w razie Boże broń rzeczywistego nieszczęścia, opiekunem jęj zostałeś. A i my tężbardziej pomagając ci w dopełnieniu tego obowiązku będziemy, bo wiadomo nam dobrze co jest sieroctwo... Panna Katarzyna ciężko westchnęła rękę trochę już drżącą na głowie Władka kładąc, jakby go w duchu błogosławiła; a proboszcz siadł pisać jeszcze jeden list do pana prawnika, prosząc go o wiadomości dotyczące pp. Falskich.

I znowu na odpowiedź czekano. A Janek przychodząc co Niedziela do kościoła wywiadywał się



o tych wszystkich nadziejach i zawodach, i zmartwieniach Władka; oglądał książki, z których Władek się uczył i ze wszystkich czterech boków przyglądał się mapom, które mu Władek na stole malował, tłómacząc i jedno i drugie tak, jak książd jemu samemu tłómaczył. Zimą jest na wsi daleko więcej czasu wolnego niż latem, a wieśniacy zazwyczaj wtenczas wypoczywają po ciężkich trudach i nic nie robią, tój zimy jednak którą Władek u księdza przebywał, Janek często przybiegał do niego. Między dwoma chłopcami zawiązała się przyjaźń serdeczna, chociaż jeden miał rok dwunasty, a drugi dwudziesty, bo dobre wychowanie i nauka dodawały Władkowi, czego mu w latach niedostawało. Proboszcz i p. Katarzyna chętnie i serdecznie witali u siebie Janka, bo oni już zmiarkowali to, czego Janek sam jeszcze nie zmiarkował, a mianowicie, że jego do Władka ciągnęła nauka, oprócz samej przyjaźni. Jankowi to ani przez myśl nie przeszło, a do Władka przybiegał, aby tylko mógł, zimowym wieczorem słuchać tego, co mu Władek ze starych ksiąg proboszcza czytał lub opowiadał.

Czasem Janek siadłszy tuż przy Władysiu spoglądał ciągle to w oczy jego, to na książkę, usiłując zrozumieć niepojętą dla siebie tajemnicę czytania. Widząc to, Władek zaczął palcem pod czytaniem wyrazami wodzić, żeby Jankowi śledzenie czytania ułatwić. Ale nie ułatwił mu tём nic, tylko zaciekawił jeszcze bardziej. Aż skończyło się na tём że Janek Władka prosił o wyjaśnienie czarodziejskiego stosunku między książką, oczami palcem i językiem, które zowie czytaniem. Władek tedy zaczął Jankowi czytanie tłómaczyć. Ale tłómaczenie szło trudno, a zrozumienie jeszcze trudniej. Aż raz znalazłszy kawałek ołowiu, Władys tak sobie z pustoty roztopił go w żelazniaczku, a potem wyrysowawszy literę A w kąciku czeladnicy na kupce piasku, wylał ołów w te wyżłobienie. Janek patrzył gdy Władys po wystygnięciu ołowiu z piasku go wyjął i kształtną drukowaną literę w dwóch palcach Jankowi pokazał, zdziwiony Janek powiedział A!... — i usta z podziwu na takie cacko roztworzył.

— No, pamiętajże sobie, że taka litera, gdziekolwiek ją znajdziesz, będzie się nazywać A — powiedział Władys. I w istocie Janek tę literę nareszcie spamiętał, ciesząc się jak dziecko, gdy ją między innymi w książce znajdował. A to, podało Władkowi myśl, żeby go dalej liter podobnym sposobem uczyć. Popróbował tedy litery wycinać kozikiem z drzewa, albo lepić z resztek wosku, wziętych u zakrystyana z pozwolenia proboszcza, ten pomysł powiódł się; Janek za każdy raz od Władka z nową literą odbiegał, a powracając

z nią, już nie tylko znał ją i w każdej książce poznawał, ale zarazem, choć ona z wosku była, on zawsze taką samą z drzewa wystruganą przynosił. Aż składając razem ze sobą te litery, Janek się czytać nauczył.

Litery nie były jedynymi rzeczami jakie Władek z ołowiu odlewał, próbował on w gliny wilgotnej odciskać rozmaite kształty, to głowę ludzką, to kota panny Katarzyny, kiedy leżał na jej kolanach, to inne jakie przedmioty. A nierad jeszcze z robót swoich, poprawiał je skrobał i przycinał nożykiem.

Potem zaczął z wosku lepić te same rzeczy, aż raz ulepił Janka tak, jak go pierwszy raz zobaczył, i potem widywał często leżącego nad bydłem i znowu raz gdy Janek biedził się nad książką i siedział nad nią podparty, Władek wziął prędko kawałek wosku, lepił go, patrząc nieznacznie na Janka, aż w końcu pokazał mu, zapytując czy nie wie, co to takiego.

Janek spojrział i najprzód się rozśmiał, a potem dopiero zadziwił nad malutkim z wosku wyrobionym człowieczkiem, który siedząc podparty nad książką strasznie nią był zajęty. Proboszcz wyciągnął rękę i wziął także małego człowieczka od Władka zawstydzonego trochę tą uwagą, jaką na siebie ściągnął.

— A, a to ty Janku jesteś — rzekł proboszcz, oglądając wosk, a Władek zawstydził się teraz naprawdę widząc, że proboszcz myśl jego rozumiał.

— No, toś ty nie darmo, moje dziecko, litery z ołowiu lał i z wosku lepił, probuj z gliny ludzkie postaci lepić, jak robią ci, którzy je później w marmurze kuja, a kto wie, może ty zajdziesz daleko... — mówił powoli ksiądz, kręcąc głowę i oglądając figurkę z wosku.

— Zajdę daleko? gdzie? — zapytał po chwili, nie rozumiejąc.

— Gdzie? hm, czy ja wiem, może marnie do grobu, jeżelibyś próżniak a pyszny był... — mówił ksiądz powoli, ciągle obracając figurkę na dłoni...

— Do grobu? marnie?... — powtórzył przestraszony Władys...

— A może — mówił dalej ksiądz jakby w zamysleniu — a może do Rzymu, do Florencyi, gdzie żył ten Michał-Anioł, o którym wczoraj czytałeś, że kościoły Pańskie stawiał i z marmuru Mojżeszowi wykuł i...

Ale ksiądz nie mógł dalej mówić bo Władek jakby oszalał, już nie do nóg ale jak nieprzytomny na szyję księdzu się rzucił, potem Jankowi, potem krzycząc:

— Jestem artystą! jestem artystą!... — pannę Katarzynę ścisnął, aż się przelekła i także krzy-



część zaczęła, i dopiero oprzytomniawszy powrócił Władysław zawstydzony do proboszcza i przepraszał go zaczął za szaleństwa swoje, ale zarazem ledwo się przekonał, że się nikt na niego nie gniewa, znów ukląkł Władysław przed staruszkiem i schowawszy twarz w jego dłonie, pocichutku zapytał: — czy to może być naprawdę, żeby on był artystą?.. Ksiądz przypomniał sobie dopiero, że Władysław znalazłszy: Życie i dzieła Michała Anioła, rzeźbiarza, budowniczego, malarza i poety włoskiego w bibliotece, ciągle się w tę książkę wczytywał która to książka widać głowę mu zawróciła, podając myśl i pragnienie aby i on mógł być wielkim artystą.

Ksiądz nie chcąc mu robić zbyt wielkich nadziei, żeby go możliwy zawód później zanadto nie bolał, zaczął mu tłumaczyć, że dola artysty ciężką jest, ale ta wiadomość nie ostudziła radości chłopca, zgadzał się chętnie i na pracę i na biedę, i na nędzę, byle tylko przytęm prawdziwym artystą być. Tak mu wyobraźnię rozpłomieniła książka o Michale Aniele, rzeźbiarzu włoskim.

Tymczasem odpowiedź na trzeci list księdza do prawnika, nie nadeszła wcale. Dopytywano się ciągle w okolicy, czy kto zamożniejszy nie jedzie do Warszawy, ktoby zechciał Władka zabrać i tam się nim zaopiekować. Sposobność taka trafiła się dopiero na trzecią wiosnę. Jechał do Warszawy brat dziedziczki pan Makary. Jechał on na prośby siostry, wdowy chorąg, która, gdyby nie choroba, wolałaby była sama pojechać. Jechał opłacić jakieś pieniądze, które koniecznie trzeba było zapłacić. Jechał zły, że się musiał z domu ruszyć i że mu kłopot z Władkiem siostra narzucała, bo dziedziczka chciała się proboszczowi przyśłużyć i Władkowi dopomóc.

Na plebanii długa była narada nad tém, czy mu Władka powierzyć można? czy nie?... bo pan Makary nie lubił zająć się własnymi interesami a cóż dopiero cudzemi. Ale Władysław już dwa lata czekał na sposobność dostania się do Warszawy, a teraz ta sposobność miała go minąć.

Staruszkom żal się dziecka zrobiło. Nie mogli jechać z nim sami i nie mieli go komu innemu powierzyć. Wypersadowano sobie, że Władek jest chłopcem bardzo roztropnym i sam sobie po części przy byle jakiej opiece będzie radzić i pana Makarego się pilnować jadąc tam i napowrót, jeżeli na to przyjdzie. Przykazano Władkowi wracać natychmiast z panem Makarym, jeżeli rodziców nie znajdzie, a jeśliby znalazł, kazano mu zaraz wszystko przez pocztę donieść i regularnie co dwa tygodnie później listy do proboszcza pisywać, dopóki na przyszłe lato nie będzie mógł przyjechać sam przyjaciół swoich odwiedzić. Potém wszyscy po kolei

ściskali go. Proboszcz i p. Katarzyna każde oddzielnie. włożyło mu w rękę po trosze pieniędzy, ile które miało, byliby mu dali i więcej, gdyby mieli, bo Władysław doskonale znał się na wartości zapracowanego grosza; a potém uściskali go wszyscy, uściskał go Janek, który miał oczy od łez czerwone.

(D. c. n.).

## ŁÓDŹ NAUTILUS.

Amerykianie słyną z niezwykłych pomysłów. W r. 1879 dwóch braci Andrewsów z Bostonu, postanowiło dla osobliwości przepłynąć Atlantyk na małej łódce, którą przedstawia nasz rysunek. Łódce téj, nadano nazwę Nautilus, czyli żegłarek, tak się nazywa mięczak morski, podobny do małego żaglowego statku, miała ona 19 stóp długości, 6 stóp i 7 cali szerokości 2 stopy i 3 cale głębokości. Szalone to przedsięwzięcie udało się dwom zuchwałcom, którzy wypłynawszy z Bostonu po 53 dniach żeglugi, przybili do brzegów Anglii. Odplynęli jednak napowrót zwyczajnym okrętem.

## Sierota.

Sierotam na świecie,  
 Nie mam ojca, matki!  
 Czy wy rozumiecie,  
 Co to znaczy, dziatki?  
 Jest to być samotnym,  
 Nie mieć żywej duszy,  
 Którą nasza boleść  
 Obejdzie lub wzruszy.  
 Jestto tłumić w sercu  
 Najlepsze uczucia,  
 Nie skarżyć się nigdy,  
 Nie szukać współczucia.  
 Bo go nie znajdziecie,  
 Lub tylko udane,  
 Jak grosze z liłości  
 Żebrakowi dane.  
 O módlcie się, dzieci,  
 Do Pana wszechświata,  
 By ojcu i matce  
 On przedłużył lata.  
 Obyście wy nigdy,  
 Nigdy nie wiedzieli.  
 Co to znaczy smutek,  
 Gdy go nikt nie dzieli!

II. B.



## Do nieznajomych rówieśniczek moich

PISZĄCYCH W WIECZORACH RODZINNYCH.

Gdyby schwyć ptasząt śpiew,  
Mrugając gwiazdkę zbić,  
Tchnienie wiosny, kwiatów, drzew,  
W cudne wianki razem zwić.

\* \* \*

Takie wianki, z takich szat,  
Dałabym wam z złotych tac,  
Na pamiątkę młodych lat,  
I młodziutkich waszych prac.

R. D.

## Łamigłówka zegarek.

(Ułożona przez Sew. H. dla Karola K.).

\* \* \*  
\* \* \*  
\* B \*  
\* \* \*  
\* \* \*

Ułożyć w kierunku wskazówek 12 wyrazów zaczynających się od litery B. Ostatnie litery tych wyrazów, zastępujące godziny na zegarze utworzą imię i nazwisko wielkiego hetmana, który żył za czasów Zygmunta I i Zygmunta Augusta. Znaczenie wyrazów: 1) Miasteczko, gdzie wyrabiają sita i przetaki. 2) Miasto powiatowe w gub. Siedleckiej. 3) Starożytna stolica. 4) Imię męskie. 5) Rzeka wpadająca do Wisły. 6) Miasteczko w powiecie Mohylewskim, pamiętne w historii. 7) Wieś w guberni Lubelskiej, pamiętna rzeczapo-  
spolitą z czasów Zygmunta Augusta. 8) Wyspa na morzu Indyjskiem. 9) Miasteczko w gub. Kijowskiej, pamiętne umową zawartą z kozakami. 10) Miejsce pielgrzymek w Indyach. 11) Źródła wody siarczanęj. 12) Uczony pisarz i adjutant buławy litewskiej.

## Łamigłówka głoskowa.

W mém imieniu, kto ciekawy,  
Spostrzeżenia różne czyni:  
Mazur widzi herb Warszawy,

Grek bajeczne trzy boginie,  
Frank autora, Szwajcar Arwę,  
Widzim także Nowę, Narwę,  
Włoskie, niemieckie narody  
Widzą swoje rzeki, grody,  
Szwed jezioro, Turek Warnę,  
A myśliwy rena, sarnę.  
Ja zaś widzę na ostatek  
Przy autorze, pierwszą z matek.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

## Łamigłówki kryształowej:

S  
S A N  
M A N N A  
N I E G D Y Ś  
S A N G U S Z K O  
P R O S Z E K  
N A Z W A  
O K O  
O

## Gwiazdki zoologicznęj:

D R L  
Z Y J  
J B R  
R O S O M A K  
G Ł B  
O Ó A  
N W K

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Stanisł. Pawł... w Ekaterynostawiu. Za przesyłkę dziękujemy równie jak za liścik bardzo dla nas miły, bo nam wskazuje jak kochane panienki pięknie i pożytecznie czas swój zajmują w czasie wakacyi, nauczając biedne dzieci, tego co same umieją. Jest to najwyższe miłosierdzie i cześć prawdziwa należy rodzicom którzy zaszczytli w ich sercu takie poczucie obowiązku względem ubogich braci. Jakże miło posłyszéć również, że starsza siostra tak piękny przykład na tem polu daje młodszemu rodzeństwu. Niewymownie radzi jesteśmy że wierszyki *Kukulki z nad Bzury* tak się podobały zarówno zacnemu ojcu jak i wszystkim co je czytali.